

Radka Franczak Serce

Poradziłem kiedyś Radce, żeby spisała te wszystkie historie, które ma w głowie. I oto niemal po dziesięciu latach leży przede mną gotowa powieść. Bardzo się cieszę.

Andrzej Wajda

MARGINESY



Stasiek przez cały czas siedział na krawężniku i się uśmiechał, a Piotr, który umył im wszystkie szyby, przemył reflektory, stał obok, szczęśliwy, trzymając w ręku banknot, i kiedy widzieliśmy się po latach z Piotrem – nie było z nim wtedy dobrze – wyciągnął z książki, którą czytał, te dziesięć franków, podniósł je do góry, pokazał z dumą i powiedział: „Pamiętasz je? Ja wciąż je widzę”.



W końcu podjęłam decyzję, że nie będę dalej myć szyb i że pójdziemy ze Staśkiem poszukać pracy do wiosek. Pożegnaliśmy się z Piotrkiem, Jackiem i z Jugolem i ruszyliśmy w górę.

Do najbliższych domów i farm wiodła stroma i wąska asfaltowa droga. Łąki pachniały intensywnie. Położyliśmy się wśród kwiatów, zapominając o wszystkim, nabrzmiali od szczęścia, wiecznej przyszłości, od upału, zapachów, dźwięku ciszy. Bałam się, że ktoś nas zobaczy, ale Stasiek zaczął powoli całować moją twarz, tak jakby każdy jej fragment był mu niezwykle drogi, zapierało mi dech od tego, jednocześnie pewnym ruchem wsunął mi rękę pod spodnie i poczułam przyływ tak wielkiego podniecenia, energii, która sprawiała, że seks był niemal siłowaniem się.

Potem leżeliśmy w milczeniu obok siebie, zjedliśmy puszkę tuńczyka i ruszyliśmy dalej.

W kilku pierwszych domach nikt nam nie otworzył. Byliśmy zdumieni – domy te nie miały ani płotu, ani ogrodzenia, zaznaczonego miejsca wokół siebie, w którym wiesz, że przekraczasz granicę czyjejs własności. Okna były pootwierane, drzwi może też. Można było od razu wejść na trawnik, podejść do drzwi od tarasu, wejść do ogrodu, do basenu, zobaczyć i podnieść osobiste rzeczy, które leżały wokół: książki, gazety, zabawki, buty, sprzęt do ćwiczeń. Do tego często przed domem stał samochód z opuszczonymi szybami, drugi samochód, motocykl lub motorynka, rowery, hulajnogi, stoły do ping-ponga z leżącymi na nich raketkami. Czasami tylko tabliczki informowały: „*Properity private*”, ale kto przestraszyłby się tabliczki z napisem? Nie byliśmy do tego przyzwyczajeni – u nas wyjście na ulicę miasta czy wsi było podświadomą walką. „To jest moje” niszczyło spokojny pejzaż. Drewniane, metalowe, betonowe płoty i mury wydzielały przestrzeń według nieznanego nikomu klucza, blokowały przejście, wyrastając nagle i nie dając płynnie iść czy jechać. Było to raczej przedzieranie się i poczucie, że nie ma tu jedności i że należy się bać.

Chodziliśmy ponad trzy godziny i oprócz samochodów, które czasami ostrożnie nas mijaly, nie widzieliśmy nikogo.

Za każdym razem, kiedy słyszeliśmy silnik, odsuwaliśmy się w pośpiechu, ja w panice i poczuciu winy, jakby ten ktoś miał złapać mnie na gorącym uczynku, na przebywaniu, szukaniu czegoś. Ale ludzie w samochodach zwalniali na nasz widok tylko dlatego, że byli ostrożni, pochylali też głowy, żeby nas zobaczyć, uśmiechnąć się lub pomachać. Odmachiwaliśmy zdumieni, pewni, że z kimś nas pomylili.

Nie odzywaliśmy się do siebie, zmęczeni kolejną godziną. Czuliśmy, każde na swój sposób, gorycz ludzi drugiej kategorii, różnicę, która okazała się zupełnie inna niż ta, jakiej się spodziewaliśmy, nie była to nasza pogarda dla bogatych – nie, to było odkrycie, że można spokojnie żyć, podziw dla prostoty i piękna, wzajemnego zaufania i szacunku, które tak łatwo można było odczytać tylko w tych kilku samotnie stojących domach, farmach, oddalonych od siebie i, wydawało się, bez ludzi.

Szliśmy obok siebie, czasami patrząc w dół na czarny asfalt, podnosząc oczy na zniewalający za każdym razem widok jeziora, Alp i ośnieżonej Góry. Patrzyłam na nią. Czułam ją w swoim sercu, w piersi, gdzieś tu, o tu, blisko.

Namawiałam Staśka na różne sposoby, żeby to on dzwonił, to on pytał, mimo że cały pomysł szukania pracy był mój. Ale w końcu, po kolejnym domu, on też zwątpił. Postanowiliśmy, że to będzie ostatni raz i jeśli nikt nam nie otworzy, to zastanowimy się, co dalej.

To był duży, rodzinny dom, z werandami i pnącymi się dookoła girlandami kolorowych petunii. Drzwi były wpółotwarte i kiedy zapukaliśmy, otworzyły się szerzej, odsłaniając przed nami wielki pokój. Pośrodku stał kominek, a nad nim pięła się misternie wykonana ściana wspinaczkowa. Trasa tej wspinaczki sięgała aż do sufitu trzypiętrowej kondygnacji domu i kończyła się półką, głęboką kryjówką umieszczoną tuż pod stropowymi belkami. Czekaliśmy, ale i tu nikogo nie było. Stasiek postanowił obejść dom i zajrzeć na podwórko.

Stałam na drodze, patrząc na identycznej wielkości białe kamyczki wysypane równo przed domem, pokryte białym pyłem jak cukrem pudrem.

Stasiak wracał do mnie pośpiesznie, przekrzywiając głowę na bok, zgarbiony. Emocje zawsze składały go tak wpół. „Znalazłem kogoś – powiedział. – Wygląda jak święty Mikołaj, siedzi za biurkiem postawionym po prostu na polu przed domem i mówi, że ma dla nas pracę i dom od zaraz!”.

Mężczyzna kreślił coś ołówkiem, stojąc przy prostym, długim stole. Podskakiwał przy tym, mruczając do siebie. Na mój widok krzyknął: „Aaaa! *Petit travailler! Pologne. Bonjour!*”. I podszedł się przywitać. Był niski, miał drobną, dobrotliwą twarz, siwą brodę i gęste, siwe włosy. Nazywał się Marcel. Uśmiechał się. Mówił po angielsku, dużo, wprost, miał mocny uścisk dłoni, pełne życia oczy. Poruszał się szybko, jakby rozsadyła go od wewnątrz niespożyta energia, pchająca go wciąż do działania. Powiedział, że ma teraz dużo pracy, za dużo, że zawsze tak jest, że kiedyś jako młody chłopak jeździł stopem po Kanadzie i tam jemu ktoś pomógł, wyciągnął pomocną dłoń. Obiecał sobie wtedy, że on też tak zrobi, ostatnio nawet o tym myślał i zjawiliśmy się my.

„Coś w tym musi być!” – cieszył się. Pokazał nam mały drewniany domek z werandą wychodzącą wprost na widok na jezioro i góry. Domek stał poniżej jego domu i był romantycznie zatopiony w gęstej winnicy. „To jest teraz wasze – powiedział. – Esther przyniesie wam pościel”.

Z domu wyszła kobieta. Była dużo młodsza od niego, ale poruszała się powoli. Miała intensywnie niebieskie, radosne,

drobne oczy. Esther uosabiała macierzyństwo, miała w sobie ten rodzaj zapalnika, który uruchamiał się z porażającą siłą, kiedy ktoś potrzebował pomocy. Może dlatego potrafiła podołać wysokiej poprzeczce, jaką sobie postawiła. Zajmowała się trójką dorastających dzieci, odwożąc i przywożąc je ze szkół i zajęć, pomagała im, robiła zakupy, gotowała trzy posiłki regularnie o tych samych porach, sprzątała wielki dom i biuro, a ich sypialnię wypełniały zawsze sterty ubrań do prasowania. Oprócz tego Esther zajmowała się też księgowością w ich wspólnej firmie. Marcel nie zgadzał się na żadną pomoc z zewnątrz. „Prace w domu należą do kobiety. Poza tym, wszyscy tu ciężko pracujemy” – mówił.

Teraz wziął ją serdecznie za rękę i przytulił do siebie. „Jesteśmy razem już dwadzieścia sześć lat” – powiedział z dumą i wykonał z nią coś w rodzaju tańca, ale ona się zmieszała, przetańczyła tylko kilka kroków i odsunęła się ze śmiechem, poprawiając włosy. „Jestem Esther” – przedstawiła się. Marcel powiedział do Staśki: „Zaczynamy. Chodź”.

Zdumiony, wzruszony Stasiak popatrzył na mnie, postawił plecak na ziemię i poszedł za nim. A ja, zostając z Estherą, która weszła na chwilę do domu i zaraz wróciła z naręczem świeżej, wyprasowanej pościeli, od razu zrozumiałam, jaki panuje tu podział ról.

Zrobiło się cicho, zniknęło zamieszanie. Patrzyłam na migoczące w słońcu jezioro, na góry. Esther stanęła obok i dopiero po dłuższej chwili powiedziała łamanym angielskim: „Czasami mgła przychodzi i zakrywa wszystko, nie ma Mont Blanc, jeziora, winogron, i tak trwa, trwa tygodniami ta mgła”. Zawahała

się, jakby chciała coś jeszcze dopowiedzieć, ale w końcu, już bardzo konkretnie, zaczęła udzielać mi wskazówek i pokazywać, co i jak działa.

Domek był mały i miał dokładnie wszystko to, co jest potrzebne. W środku był jeden duży pokój, a w nim dwa wąskie łóżka, stół, dwa krzesła, mała szafka i piecyk. Esther położyła pościel na łóżkach, dała mi klucz, mówiąc, żebym przyszła do niej, jeśli tylko będę czegoś potrzebowała, i poszła.

Złączyłam łóżka i przesunęłam je pod okno. Pod drugie okno podsunęłam stół i krzesła, rozpakowałam się, zrobiłam kącik kuchenny i drugi z książkami, które zawsze ze sobą woziłam, zdrzemnęłam się, obudziłam stęskniona, ale Staśka wciąż nie było.

Nie mogłam znaleźć sobie miejsca, nie wiedziałam też, gdzie jest łazienka.

Stasiak wrócił dopiero wieczorem. Cały dzień pracował na dachu domu w sąsiedniej wiosce. Był bardzo zmęczony, ale mimo to poszedł zapytać o łazienkę, wrócił po chwili i zaprowadził mnie. Potem zrobiliśmy kolację i jedząc ją na werandzie, nie mogliśmy się nacieszyć naszym szczęściem: mieliśmy piękny dom, bardzo dobrze płatną pracę i – mieliśmy ten widok.

Codziennie rano Stasiak wstawał do pracy, a ja zostawałam. Właściwie nie miałam nic do roboty. Sprzątałam dom, słuchałam muzyki, czasami szłam na dół, na stację benzynową, do chłopaków, pogadać, coś kupić, popatrzeć na ludzi. Czasami wpadali oni albo tylko Piotr, na rowerze pożyczonym od Jugola.

Codziennie mówiłam Staśkowi, żeby spytał Marcela, czy czegoś dla mnie nie ma. A Stasiak odpowiadał, że wciąż musi

się o coś pytać, żebym sama spytała Esther. Ale ja nie mogłam. Wiele razy szłam do niej i w połowie drogi zawracałam ze spocnymi, zaciśniętymi pięściami w kieszeniach, nie mogłam się przełamać i poprosić. Tak wygodniej było tylko się uśmiechać i mówić: „Wszystko w porządku. Niczego nie potrzebuję. Jest okej”. Zawracałam, wchodziłam do domu i wściekła siedziałam na werandzie lub spałam. Robiłam wymówki Staśkowi o każde jego niemówienie, bo często milczał zmęczony wieczorem i chciał być sam.

To w końcu Esther przyszła spytać, czy czegoś nie potrzebuję, a ja od razu zapytałam, czy nie wie, jak mogłabym poszukać pracy. „Pomyślmy” – powiedziała, trochę zaskoczona gwałtownością, z jaką wyrzuciłam to pytanie, i obiecała, że wróci. Zrozumiała wszystko w mig.

Następnego dnia, w czasie przerwy na lunch, przybiegł Stasiak i zawołał, żebym przyszła, bo Esther znalazła kogoś we wsi, kto da mi pracę. „To dziwaczki – stwierdził Marcel. – Kto dziś tak żyje? Uprawiają własny ogród i jedzą te warzywa, to nie jest praktyczne, wydajne. Nie pracują, nie kontaktują się z ludźmi ze wsi, nie angażują się w sprawy społeczne. Dziś tak się nie żyje” – powtórzył. Musieli nieraz o tym rozmawiać, bo Esther nic na to nie odpowiedziała, zachowując wymownie kamienną twarz, a Marcel popatrzył na nią, machnął ręką i poszedł.

Esther poczekała, aż odejdzie, a potem zaczerpnęła głęboko powietrza i z uśmiechem i radością powiedziała: „Tak. Są trochę dziwne, ale starszą madame wszyscy tu uwielbiają. Chodzi o to, żebyś się nią opiekowała, żebyś tam trochę przychodziła. Jest już stara. One mieszkają razem, od kiedy je znamy, zawsze

razem. Matka i córka. Same w takim dużym domu! Córka nie ułożyła sobie życia. Kiedyś miała narzeczonego, ale bardzo dawno temu. Ma na imię Robin, pracuje w ONZ jeden dzień w tygodniu. Chce się z tobą spotkać dziś po południu, właśnie teraz, kiedy mama wyjechała na kilka dni. Będziesz rozmawiać po angielsku, bo one są Angielkami albo Szkotkami, nie pamiętam, chyba są jakąś tam arystokracją”.

„Dobrze” – zgodziłam się od razu. Chciało mi się skakać ze szczęścia.

Do tej pory nigdy nikim się jeszcze nie opiekowałam. W życiu to raczej opiekowano się mną. Byłam młodszą siostrą i zawsze miałam starsze koleżanki i starszych kolegów. Mogłam skłamać, że opiekowałam się chorą, umierającą babcią, widziałam przecież poszczególne fazy jej odchodzenia, ale tak naprawdę nikt oprócz dziadka się nią nie zajmował, nikt nie poświęcił się jej odchodzeniu. My tylko przyjeżdżaliśmy w weekendy, znudzeni, zagubieni w sytuacji, w której ona już nie biega między nami, nie spełnia naszych zachcianek, nie smaży naleśników, nie robi pierogów, tylko leży, leży na kanapie, umierając w potwornych bólach, ale udając, że nie.

Babcia przed naszym przyjazdem mobilizowała się, zbierała siły, malowała twarz, wkładała niewygodne ubranie, kazała dziadkowi naznosić poduszek pod plecy, i tak upozowana siedziała na łóżku, czekając na nas. Teraz myślę, że się bała, że śmierć nas wystraszy. Odwiedziny jej ukochanego syna z dziećmi i były dla niej pociechą, zaświadczeniem, że życie nie poszło na marne, łącznikiem z tym, co było istotne.

Widziałam więc tylko to, ją w łóżku, obok stolik, na którym zawsze stała herbata Lipton z cytryną, termometr i aspiryna. Aspirynę dziadek serwował babci trzy razy dziennie, chcąc w ten prosty sposób wyleczyć ostatnią fazę raka kości.

Potem się dowiedzieliśmy, że już zabierają ją do szpitala.

I dalej, kilka dni później, kilka dni, które nam minęły szybko w naszej zajętej codzienności, że już umarła tam w szpitalu, w nocy, i nikogo przy niej nie było, i kiedy dziadek przyszedł rano, jak tylko już można było przyjść, jak tylko już wpuszczali po nocnej przerwie na wizyty, nie mógł jej znaleźć, a ktoś powiedział z sali przerażony, że umarła w nocy, wszyscy słyszeli, nikt nie mógł spać, wołała swoich bliskich, krzyczała ze strachu i bólu, a pielęgniarki powiedziały mu, że teraz nie może zobaczyć ciała.

I dziadek, zagubiony, sam na sam w swojej tragedii, dzwonił do nas z telefonu, ich telefonu, z ich okrągłego stolika koło schodów, i łkając, szepcząc, dostawał udaru. Kiedy przyjechał mój tata, dziadek leżał ze słuchawką w ręku i nie mógł się poruszyć, patrzył jak bezradne, ranne zwierzę, a ciało babci, ciało ukochanej matki i żony – nigdy jej nie zapomnimy – pomimo protestów i interwencji mojego ojca lekarza nadal było niedostępne dla rodziny i walało się gdzieś w piwnicach szpitala.

Kochane ciało.

To wszystko dotarło do mnie, kiedy byłam już starsza, bo wtedy, tam, przedstawiono to raczej jako „kłopot”, „przejściowy problem”, a nie olbrzymią tragedię, samotną śmierć po długim, bogatym życiu, samotność dziadka, jego rozpacz, kiedy szukał na własną rękę po szpitalnych korytarzach, próbując odnaleźć

piwnicę, gdzie leżała jego ukochana żona. „Pan Ostrowski zwa-
riował po śmierci żony” – mówiły pielęgniarki z pobłażliwym
uśmiechem, ścigając go po korytarzach, robiąc z niego zniedo-
łężniałe dziecko, jakby czyhały tylko na ten moment słabości,
zdegustowane jego zachowaniem, jego nagłym obnażeniem
domu, człowieczeństwa, przywiązania i miłości. Do tej pory
był dyrektorem, a jego żona dyrektorem. Teraz stali się mar-
ginesem społecznym, starymi, chorymi ludźmi.

Dom dziadków wyglądał tak samo i wciąż nimi pachniał,
kiedy przyjechaliśmy my, dzieci, wnuki, przyszłość, ich uko-
chanie. Chodziłam po pustych pokojach z nagle otwartą raną,
rozpaczą, płakałam z żalu za babcią i tęsknotą za nimi, za
moim dzieciństwem, które razem z nimi, na zawsze, beztro-
skie, odchodziło. Dopiero tam zrozumiałam, że naprawdę już
nigdy jej nie zobaczę, nie dotknę i nie usłyszę, a dziadek nie bę-
dzie tym samym pełnym optymizmu, energicznym, uśmiech-
niętym człowiekiem.

Chodząc po ich domu, zawędrowałam do kuchni, gdzie sta-
nęłam przed kalendarzem ściennym. Kartki nie były zrywane,
od kiedy babcia trafiła do szpitala. Na ostatniej widniał napis:
„Szesnasty lipca, poniedziałek, lato, sto dziewięćdziesiąty ósmy
dzień roku, dwudziesty dziewiąty tydzień roku, wschód słońca:
czwarta trzydzieści osiem, zachód słońca: dwudziesta czterdzie-
ści dziewięć, wschód księżycy: druga zero trzy, zachód księżycy:
osiemnasta czterdzieści, imieniny: Benity, Marii, Mariki, Eusta-
chego”. A poniżej sentencja na dzień: „Są mężczyźni, którzy mają
to, na co zasłużyli. Inni pozostali kawalerami” – Sacha Guitry.

Zaśmiałam się. Ale potem poczułam falę niepohamowanej
wściekłości i uśmiech zamarł mi na ustach. To właśnie tak było,
tak tu, w rodzinie, naszej rodzinie, w klasie, na ulicy, w kobie-
tach, w całym życiu babci. Miałam to we krwi, w farbowaniu
włosów, w wyszczypanych brwiach, w ogolonych nogach i pa-
chach, zawsze gdzieś obok, schowane, niebezpiecznie bliskie.
„Mają to, na co zasłużyli”. To. Bombonierka z czekoladkami,
całowane ręce, wstążka w uczesanych włosach, ciasne cholerne
rajstopy, lustro, kwiaty, zatkanie tym wszystkim usta. A Shirley
powiedziała wtedy jeszcze w tych ostatnich sześciu tygodniach:
„Umarli nie rozpuszczają się, nie znikają, oni są w środku nas
i wokół nas. Znam, znałam takich, którzy byli otwarci na tę
«przygodę», na to wszystko, czego nie wiemy, co jest potem, na
wielką zmianę, to dla nich kwestia czasu, że pójdą tam gdzieś,
gdzieś indziej. Tylko dla nich to «gdzieś indziej» nie jest czarną
dziurą. To właśnie oni byli, są znacznie bardziej pełni życia niż
większość młodych ludzi, których znam. Oni z życiem ekspe-
rymentowali, oswajając w ten sposób śmierć, będąc całkowicie
tu i teraz, w terażniejszości, szczęśliwi, świadomi każdej chwili.
Ale jeśli ludzie się boją i są przerażeni śmiercią, to nie rozu-
mieją nic i umierają w ciemności”.

Szłam z Esther przez całą wioskę. Minęłyśmy skrzyżowanie,
fontannę, budkę telefoniczną, kościół, restaurację i maleńki
hotelik. Szłyśmy drogą pod górę, zostawiając ostatnie domy
za sobą. Patrząc przed siebie, dopiero po chwili zrozumiałam,
że to, co brałam za fragment skały mocniej porośniętej lasem,
było miejscem zamieszkania ludzi. Naprawdę trudno było to
nazwać domem. Była to raczej monumentalna, stara, podupa-

dająca rezydencja, zarośnięta pnącymi się po niej wszędzie roślinami, drobnymi różami, pomarańczowym milinem, glicynią, winoroślą i bluszczem. Dom wtapiał się w góry i dziwiłam się, że z otworów okien nie wystają jeszcze skały i konary rosnących w środku drzew. Rośliny, które porośły popękane marmurowe kolumny wokół domu, tworzyły między nimi arkady zwisających liści i kwiatów. Tylko w kilku miejscach można było dostrzec kawałek ściany lub okna. Zresztą, większość okien była ukryta za drewnianymi szarymi okiennicami. Przez to dom wyglądał, jakby osleplł i za swoimi starymi, zamkniętymi oczami snuł jakiś własny, oderwany od świata, pomroczny sen.

Ogród wokół domu rósł tak samo dziki i natarczywy. Warstwy roślin pięły się jedna na drugiej, mech mieszał się z tymiankiem, nad nimi rosły anemony, jaskry, azalie, lewkonie, kosmosy, dalie, astry, rumianki, a wyżej jeszcze krzewy róż i piwonii, irysy, mieczyki, hortensje, ostróżki, malwy, gdzieś tam pojawiały się fioletowe kule czosnku. Stary krzew jaśminu odurzał intensywnością zapachu. Na drzewach kwitły pnące się po nich kolczaste róże. Było to zupełnie tak, jakby jakiś ogrodnik dowiedział się, że zostały mu tylko trzy miesiące życia i zasadził wszystko to, co tylko dało się zasadzić na tym skrawku ziemi. Z tego szaleństwa, dobrobytu, płodności ziemi wylaniał się równo przystrzyżony trawnik z białym okrągłym stolikiem, krzesłami, parasolem, sznurkową huśtawką zawieszoną na gałęzi starej czereśni oraz niezwykle uporządkowany i schludny ogród kuchenny.

Stałyśmy z Esther, patrząc na rzędy wschodzącej sałaty, marchewki, rzodkiewki, na pnące się fasole. Równe grządki

uporządkowane były białymi kartkami z nazwami, a kolejne części wydzielał niski żywopłot bukszpanu. Było głośno – to świergotały wróble, które obsiadły dwie stare topole, przez które, niczym przez bramę, wchodziło się na teren posiadłości tych dwóch kobiet.

Esther patrzyła onieśmielona na porośnięte bluszczem okrągłe drewniane drzwi i może to najbardziej mi uświadomiło, jaki status, jak inną pozycję miały te kobiety. Nie było żadnego dzwonka, a na pukanie nikt nie odpowiadał. W końcu, zirytowana i rozbawiona, że ktoś zmusza ją do tak archaicznej czynności, Esther zastukała głośno kołatką.

Po chwili ktoś od wewnątrz zaczął otwierać drzwi.

Zamki zgrzytały niemiłosiernie, jakby otwierano przed nami wrota fortecy. Dopiero wtedy zauważyłam, że na drzwiach jest zamontowanych aż dziewięć zamków, a na każdym z nich namalowano innego koloru kropkę. Widać było, jak obracają się po kolei, przybliżając nieuchronnie moment naszego spotkania, i w końcu kiedy otworzył się ostatni, usłyszałyśmy jeszcze coś jakby dźwięk zdejmowanego rygla; potem okazało się, że była to wielka metalowa sztaba zamówiona specjalnie przez córkę u miejscowego mechanika.

Drzwi otworzyły się, a kobieta w głębi zasłoniła oczy od porażającego ją światła. Dziwne to było przywitanie. Stała tam, w mroku domu, jakby uparcie chcąc należeć do tamtego świata, udając, że tu jej nie ma i wszystko to w ogóle nie jej dotyczy. Odsloniła oczy dopiero po długiej chwili i zaczęły z Esther mówić prawie naraz. Wymieniały się po francusku długimi, piskliwymi frazami, z których zrozumiałam tylko tyle, że obie

są sobą skrępowane, że Esther chce jak najszybciej załatwić sprawę, przekazać mnie i odejść. Mówiła pewnie coś w rodzaju: „Dzień dobry, to jest ta dziewczyna, ja muszę iść, och, ach, sama pani rozumie, środek dnia”. Na co Robin, która miała dużo czasu, ale wydawało jej się, że jest dokładnie na odwrót, odpowiadała pewnie: „Ależ oczywiście, ja też jestem bardzo zajęta, i jeszcze teraz to na głowie”.

Robin była duża i wysoka. Mogłaby być silną farmerką lub właścicielką winnic, kobietą stojącą mocno na nogach, z koniem przy boku, szpicrutą w ręku, z fortuną w kieszeni, ale w jej ciele nie było tej siły biegnącej wprost z czarnej ziemi i musiało to być jej własne przekonanie o ogromnej kruchości swojego ciała. Ta delikatna kruchość właśnie, uważanie na siebie na każdym kroku, wywoływało szereg fizycznych, męczących nieporozumień, pomyłek, potknięć, co chwilę coś upuszczała, gubiła, łamała lub uszkadzała jakąś część ciała, w związku z tym dużo uwagi poświęcała sobie oraz temu, żeby rzeczy leżały na miejscu, a różne prawa i reguły, które ustanowiła w domu, miały być ściśle przestrzegane.

Esther poszła.

Zostawiła mnie, zabierając swoje matczyne ciepło i troskę, a ja odczułam to prawie tak samo intensywnie jak wtedy, kiedy mając dwanaście lat, zostałam wysłana przez rodziców dwa tysiące kilometrów na północ, do Rosji, do miejscowości położonej nad Morzem Białym. Była tam szkoła sanatorium, w której leczono się naturalnymi metodami choroby i schorzenia kręgosłupa u młodzieży. W wieku dwunastu lat bowiem odkryto u mnie zwyrodnienie kręgosłupa prowadzące do garbu

i, jak opowiadali mi później przerażeni rodzice, jedynym, co zaproponowano w celu powstrzymania postępującej gwałtownie deformacji, było wstawienie wzdłuż mojego kręgosłupa metalowej szyny. Traf chciał, że właśnie wtedy w naszym domu gościła Irina Sergiejewna, dyrektor szkoły w Archangielsku, niezwykle zawzięta i dobra kobieta. To ona właśnie obiecała rodzicom, że za rok wrócę wyleczona, zdrowa i prosta i że nie będą musieli posuwać się do tak „zbrodniczych” rozwiązań, bo tam oni naprawią mnie tylko naturalnymi metodami i reżimem dnia codziennego.

Pamiętam jej wzburzenie, pomstowanie na lekarzy, którzy chcą na zawsze uczynić dziecko kaleką, jej walkę o mnie i powtarzane słowo „reżim”.

Mama odwiozła mnie dwoma samolotami do Archangielska, a potem, po trzech dniach, zostawiła tam, musiała przecież wracać do swojego życia i do pracy, a ja musiałam zostać.

Intensywność tych chwil, kiedy jej zielony beret i sztuczne lamparcie futro znikwały za drzwiami i to, jaki potem w sypialni Iriny Sergiejewnej napadł na mnie mrok, może właśnie to spowodowało, że każde późniejsze przedstawienie mnie komuś, zostawienie mnie gdzieś, odejście odczuwałam niezwykle brutalnie.

„Robin” – powiedziała kobieta, wyciągając rękę. „Wika” – odpowiedziałam.

Zaprosiła mnie do środka. Przedścionkiem pełnym wieszaków z płaszczami, z taką ich liczbą, jakby mieszkała tu cała armia, a nie tylko te dwie kobiety, doszliśmy do dużego poko-

ju. Przez małe, zarośnięte okna sączyło się tylko nikłe światło i pokój tonął w półmroku. Przy kominku stał malutki stolik nakryty zielonym obrusem, z zaparzoną herbatą i kruchymi paluszkami. Na ścianie po obu stronach kominka wisiały stare, ręcznie plecione tureckie dywany, a jeszcze jeden leżał na podłodze. Pod ścianą z boku stał inkrustowany sekretarzyk, a pod oknem były miękka, wygodna sofa w kolorze mocnej ochry oraz, w tym samym kolorze, trzy fotele.

W rogu pokoju stała naturalnej wielkości rzeźba. Była to święta Barbara pochylona nad kielichem, który trzymała pokornie w dłoniach.

I tu, w tym pokoju, znów poczułam, jakbym kiedyś już tu była i jakby tego widoku, zapachu, wnętrza tego domu zawsze mi brakowało. Chciałam tu zostać. Tak jak czułam przynależność do Góry i Jeziora, tak od razu poczułam się częścią tego Domu.

Robin mówiła do mnie wysokim, dźwięcznym głosem. Na początku starała się mówić powoli, sondując moją znajomość języka i w ogóle mnie. Angielski zdałam najlepiej z całej klasy i teraz, skupiona na jej twarzy, ruchach, mimice, rozumiałam wszystko, prawie wszystko. Miałam wrażenie, że mój mózg przestawił się na jakiś inny, dobrze mu znany sposób odbioru. „Jestem po niedobrej stronie czterdziestki” – powiedziała z uśmiechem.

Obserwowałam ukradkiem jej twarz, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że oto siedzi przede mną młoda dziewczyna wtłoczona tylko przez pomyłkę w starsze ciało. Twarz Robin

jakby zatrzymała się w czasie, zastygła w dziewczęcym wyrazie, a mijające lata naniósł po drodze zaledwie kilka zmarszczek. W całej jej postawie było to wstrzymanie, jakby czekała, wciąż na coś czekała. I jeszcze kiedy na ułamek sekundy zdjęła grube szkła okularów, w jej oczach zobaczyłam cień tak ostry i bolesny, że zrobiło mi się zimno, a Robin natychmiast spuściła wzrok, przetarła szybko okulary i nałożyła je z powrotem.

Byłam przygotowana na przedstawienie siebie, swojego życiorysu, nabytego doświadczenia, rozmowę o ilości pracy i przede wszystkim o tym, ile zarobię. Tymczasem Robin mówiła o suszy, jaka nawiedziła jej ogród poprzedniego lata, o niewygodnych, za krótkich kuszetkach pociągu relacji Genewa–Paryż i o historii domu. „Ojciec kupił ten dom od sprzedawcy ryb. Człowiek ten potrzebował pieniędzy, bo jego córka traciła wzrok. Wtedy Szwajcaria była biednym krajem, dzieciom brakowało podstawowych witamin. W pokojach na dole stały wielkie, brudne akwaria pełne ryb, nie było podłogi, tylko klepisko. Mój ojciec zrobił tu wszystko od podstaw, każdy szczegół zaprojektował, nawet wzór i kształt kotar. A teraz powiedz mi, jak tu trafiłaś?” – zapytała nagle.

Zaczęłam więc mówić o autostopie, ale widząc jej wystraszoną minę, powiedziałam już tylko: „Jestem po maturze i chcę zarobić na przysze studia”.

„Nie będę mogła płacić dużo – podchwyciła od razu. – Ale pieniądze dogadamy później. Chcę cię zatrudnić, bo mama nie powinna być sama. Kiedy jest sama, niepokoję się o nią.

Bardzo się ostatnio zmieniła. Jest już po prostu stara. Byłam nawet na takim kursie – mama o tym nie wie, nie wspominaj jej, proszę – i jestem na to wszystko dobrze przygotowana”. Robin sięgnęła po chusteczki i wytarła oczy.

„Co jej jest?” – zapytałam. „Często wychodzi. Znika gdzieś, przepada, wyjeżdża, zapomina zamknąć dom na klucz, uważa, że nie ma po co, nie umie i nie chce ubrać się jak należy, wciąż się przebiera”. Robin opadła na fotel, zmęczona. Patrzyła na mnie.

„Ona taka nie była. Ubierała się raz a porządnie, nie marnując czasu, ale zawsze elegancko, nawet kiedy pracowała w ogrodzie, to w zamiszowych rękawiczkach. Lubiła chodzić do kina, ale sama. Miała kilka koleżanek, ale spotykała się z nimi rzadko. Nie lubiła ciasnych pomieszczeń bez okien, tuneli, mostów, wind, zamkniętych przestrzeni, samolotów, przemieszczania się. Obie unikamy tych rzeczy. Mieszkamy razem, ale jakoś zawsze byliśmy osobno. Jedna drugiej nie wchodzi w drogę, nie wchodziła. To wszystko się zmieniło. Boję się, że w końcu zrobi sobie krzywdę. Dlatego kiedy muszę wyjść, na przykład do pracy, chcę, żeby ktoś z nią był” – mówiła Robin. A ja słyszałam, jak głos we mnie powtarza: „Zapytaj też o pieniądze, ustal reguły, co dokładnie masz robić, ile, za ile, na ile”.

„Ile ma lat? Badał ją doktor?” – zapytałam. Robin machnęła ręką. „Nasz doktor! Prywatnie? Lubię go. Ale spróbuj namówić go na receptę lub lek! «Wyśpij się, zrelaksuj, znam twoją matkę, musi pić dużo wody». Oto jego rady! A mama ma już siedemdziesiąt sześć lat, powinien zrobić jej jakieś badania.

Niestety, oboje są uparci. Nie zrozum mnie źle, moja mama jest przemiłą i uroczą osobą. Ludzie ją uwielbiają. – Robin popatrzyła na zegarek. – Och!” – krzyknęła.

Szybko wstałam i dziękując, odstawiłam filiżankę z herbatą na stół. Wyszliśmy przed dom. Pomiędzy kamieniami, z których była zbudowana droga do domu, wyrosła prawdziwa łąka, różnych traw, kwiatów i ziół. Podobało mi się, że tak uparcie chcą rosnąć w każdym możliwym miejscu i pną się, rozrywając położone na nich kamienie i wylany beton. Robin jednak chwyciła ostrą łopatkę i zaczęła je wydłubywać, pokazując mi z dumą, że kawałek już zrobiła. Rzeczywiście, kamienie bliżej domu były już czyste.

„A mnie się podoba, że tak rosną” – wyrwało mi się. „No, no, widzę, że dogadacie się z mamą – powiedziała Robin i zaatakowała jeszcze mocniej kolejne rośliny. – Nie ma co się użalać” – dodała.

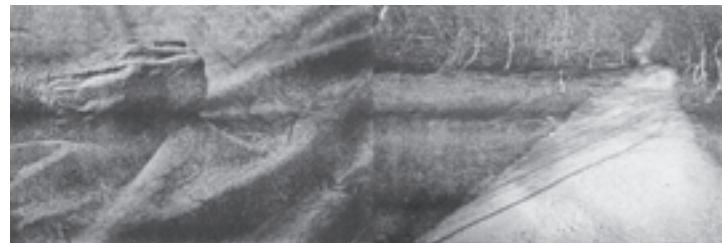
Stałam chwilę, aż w końcu zrozumiałam, że to już naprawdę koniec wizyty. „To ja już pójdę” – powiedziałam. „Do dziesiątej dwadzieścia jestem zawsze na gimnastyce. Zawsze od dwunastu lat. Więc jutro zaczynamy o dziesiątej dwadzieścia. No to dobranoc, kochanie” – powiedziała, tak nagle miękko, prostując się, a ja poczułam się jak przytulony kociak, jak ktoś, kto dostał się do rodziny, przeszedł kolejny etap telewizyjnego show.

„Dobranoc” – pożegnałam się.

„Co? Nie zapytałaś się, ile ci będą płacić? Za ile godzin?”. Stasiek nie dowierzał.

„Zapytam” – powiedziałam, spuszczać oczy. Nie to chciałam od niego usłyszeć. „Nie można być nachalnym” – dodałam. Odwróciłam się i zwinęłam w sobie jak ślimak. Gdyby tylko nie trzeba było nie musieć naciskać, dopytywać, walczyć, działać.

W nocy miałam sen. W upalny, ciężki wieczór trwało przyjęcie wydawane w bogatej rezydencji. Elegancko ubrani goście stali w rozległym ogrodzie wśród fontann, szumu wody, rozmawiając w grupkach, zerkając na innych. Powietrze pachniało nadzieją, poznaniem, seksem. Stałam przed oświetlonym domem i patrzyłam na wodę, która rozciągała się tuż przy tarasie. Woda miała kuszący, szmaragdowy kolor, głęboki i świeży. Tu i ówdzie wylaniały się wysepki piasku, a pod wodą widać było pnące się w dół, eksplodujące formami podświetlone koralowce. Miałam wrażenie, że nikt wokół mnie, a było tam przecież dużo ludzi, nie widzi tej wody, jej szczególnego piękna. Odstawiłam kieliszek z drinkiem na ziemię. Podniosłam rękę, żeby ściągnąć bluzkę, wypełniona radością i poczuciem wolności na samą myśl, że za chwilę się zanurzę. Zawahałam się jednak. „Będą się gapić” – pomyślałam. Rozejrzałam się. Niepewna, wróciłam spojrzeniem do wody. Wtedy zobaczyłam, że obraz się zmienił. Woda była teraz szara i brudna, nie było złotego piasku, koralowców, nie było błękitu, nie było głębi. Była to po prostu brudna woda, nalana do brzydkiej, betonowej sadzawki.



Następnego dnia zobaczyłam cały parter, pierwsze piętro i część drugiego. Przechodziłyśmy korytarzem od pomieszczenia do pomieszczenia. Każdy pokój wypełniony był meblami. W pokoju jadalnym stała szafa tak ogromna, że do tej pory widziałam taką tylko w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku podczas wycieczki szkolnej, gdzie w jednej sali stały „meble codziennego użytku księżnej pomorskiej Anny de Croy i jej męża”. Przedmioty te, zwykłe sprzęty domowego użytku, były co najmniej dwa razy większe od dzisiejszych i sprawiały wrażenie, jakby kiedyś te ziemie zamieszkiwały olbrzymy.

Liczba zgromadzonych w tym domu obiektów zajmujących każdy zakamarek daleko przekraczała moją percepcję. Były tam obrazy, płaskorzeźby, mosiężne patery, chińskie wazy, rzeźbione kandelabry, porcelana, różnego rodzaju lalki, rzeźby poustawiane w rodzajowe scenki, ozdobne lampy, stoły, komody, szafy i sekretarzyki o różnym przeznaczeniu, kanapy i wszędzie, wszędzie, gdzie tylko znalazł się skrawek wolnego miejsca – fotele. Część mebli i przedmiotów zakrywały kwieciste pokrowce lub po prostu przeźroczyta folia.

Przedzierałyśmy się przez to wszystko. Robin szła pewnie, dobrze jej znanymi ścieżkami. Podążałam za nią w nerwowym pośpiechu, zdumiona pięknem i wielością tych przedmiotów.

**Zmiana, o której myślisz, przychodzi niespodziewanie.
Wcale nie tak, jak chciałaś.
Ale zawsze prowadzi cię do miejsca, w którym chcesz
być najbardziej.**

Młoda dziewczyna z Polski jedzie z chłopakiem do Szwajcarii – chce poznać świat, zarobić pieniądze, wyrwać się z nijakości. Wika trafia do podupadłej rezydencji nad Jeziorem Genewskim, gdzie mieszkają tylko dwie kobiety – matka i córka. Ma pomóc w pracach domowych i zaopiekować się starzejącą się Shirley. Trzy kobiety spotykają się w momencie, kiedy ich życie zmieniają wydarzenia, na które nie mogły być gotowe. Podróż młodej Wiki okazuje się być podróżą w głąb siebie, wprost do swojego serca i jego największych pragnień.

Radka łączy fotografie i słowa w emocjonalną historię o młodej dziewczynie z Polski, która jedzie za granicę zarobić pieniądze. I konfrontuje się tam z całym swoim życiem. To piękna książka o tym, że miłość jest potrzebna nie tylko po to, żeby żyć, ale też żeby umrzeć.

Agnieszka Smoczyńska, reżyserka filmu „Córki dancingu”

Gdyby *Serce* było filmem, byłoby to kino drogi. A mam przed sobą książkę drogi. Wrażliwej, delikatnej i mądrej autorki, która łagodnie i z wdziękiem pisze o wstępowaniu w dojrzałość. Kibicuję Ci Radko!

Katarzyna Grochola

Proza, która porusza nie tylko wizją artystyczną pisarki, ale też mądrością życiową. To pisanie osobiste i jednocześnie uniwersalne, z wielką wnikliwością i wrażliwością.

Daniel Odija

cena 37,90 zł



www.indginesy.com.pl